

To całe bycie matką

„Hej wy wybaczcie proszę

przepraszam, że się panoszę

zostawmy te łzy i pomówmy o konkretnie

wiecie, bycie...”

Początkowo tekst miał być majowy, ale utonęłam w pracy i w byciu matką. Czasem jednak godzenie tych dwóch funkcji: matki i lekarki powoduje, że tekst oddaje się dzień po *deadline*. Przez co z maja robi się czerwiec, a z Dnia Matki – Dzień Dziecka. Może to i dobrze, bo to kompatybilne połączenie.

Z okazji Dnia Matki napisałam, że to dobrze, że ciąża trwa dziewięć miesięcy. Dzięki temu stopniowo człowiek przygotowuje się do zmiany. Wcale nie chodzi mi o przygotowanie do porodu, rozciągniętą macicę, kaczy chód i obrzęknięte nogi, niedające się obuć w żadne ładne i jednocześnie stosowne do pory roku, obuwie. Dziewięć miesięcy to czas dorastania do nowej funkcji życiowej. Czas adaptacji do odłożenia w czasie pewnych marzeń, do konieczności zmiany sposobu bycia, do decyzji, dokąd chcemy z tym całym byciem matką dążyć. To dobry moment na przeczytanie całego stosu oderwanych od rzeczywistości książek. To okres na wyobrażanie sobie wspólnych spacerów, szczęśliwych rodzinnych obiadków i słonecznych dni na placach zabaw. Stopniowe narastanie emocji, którym często – niezgodnie ze swoim dotychczasowym charakterem – trzeba dać upust natychmiast. Trwa oczekiwanie coraz częściej połączone ze zmęczeniem, zwieńczone upragnionym porodem... A przecież to dopiero początek tej całej zabawy w bycie matką.

Słyszając obiegowe hasło „małe dziecko - mały problem, duże dziecko - duży problem”, przychodziła mi wielokrotnie myśl, że warto by autora tego hasła rozpędzić do pierwszej prędkości kosmicznej – tak, by wylądował w orbicie i już nigdy nikomu nie opowiadał tej mądrości. Z roku na rok przekonuję się jednak, że ta myśl jest bardzo prawdziwa. Początkowo bowiem wystarcza analiza potrzeb bieżących typu: picie–spanie–wypróżnianie. Potem zaczynają się pojawiać nowe funkcje. Kończy się błogi czas, gdy bobas tkwi idealnie tym miejscu, gdzie został odłożony. Nowe funkcje są testowane na produkcji, co dość często wiąże się z tym, że funkcje te są niedoskonałe.

Ot, chociażby funkcja językowa. Moja córka uwielbia tworzyć długie zdania, totalnie pozbawione podmiotu albo walczy z fleksją. Gdy proponuje jej, by umyła ręce, odpowiada, że nie umyję „ręć”. Machinalnie ją poprawiam, rzucając w przestrzeń słowo „rąk”, co

powoduje, że już po chwili słyszę, że ona nie będzie myć „rąk”. A gdy już człowiek ustali kwestie rąk, okazuje się, że mamy inne równie kłopotliwe organy. Ot, na przykład jelita. Z jelitami jest taki problem, że ich nie widać, choć w sumie w warunkach domowych większym kłopotem by było, gdyby było je widać, ale co do zasady, będąc małym człowiekiem, trudno sobie ich istnienie wyobrazić. Zatem moja córka twierdzi, że ich nie ma. Zapytana zaś o wątrobę, odpowiada ze śmiechem i lekką pobłażliwością, że to akurat organ, który mają słonie. Obserwuję to dziwne królestwo zwierząt i nawet już nie próbuję forsować swojej koncepcji anatomii tych stworów.

Problemem bywają też sprawy własnych granic. Kiedyś, gdy dzieci miały się cieszyć z pogłaskania po głowie, moje dziecko odpowiada „ej, nie chciałam tak” i odchodząc od intruza, stwierdza, że nie lubi „ludziów” (znowu ta przeklęta fleksja).

Mój brak zrozumienia dla spraw ważnych bywa przeszkodą w naszych dobrych relacjach, bo choć zachwyca mnie wspólne przebywanie i przysłuchiwanie się, jak opowiadają lalkom bajki na dobranoc – często mówiąc o tym, co było danego dnia ważne życiu (czasem spotkanie pieska, czasem zgubienie kasztana, innym razem dziura w rajstopach) – to chciałabym, żeby raz na jakiś czas przestawały gadać i szły spać. Co prawda podziwiam swobodę w wyrażaniu siebie „mamo, założyłam spódniczkę i będę tańczyć” – tak po prostu w środku dnia, ale nieco mniej mi się podoba, gdy się to odbywa w czasie wychodzenia do przedszkola. Uwielbiam własne zdanie moich dzieci, ale nikt nie powiedział, że przed zostaniem matką powinnam odbyć kurs negocjacji.

Bycie matką to ciągła adaptacja (najpierw ciała, a potem rozumu) i ciągła nauka nowych rzeczy (kto zna wszystkie imiona piesków z „Psiego Patrolu”?).

Bycie dzieckiem to ciągła adaptacja (do nowych miejsc, nowych ludzi) i ciągła nauka nowych rzeczy (jak wyglądają te wszystkie litery?, co przychodzi po wiośnie?, jakie moce ma Elsa?). A bycie razem to ciągłe poznawanie nowych wymiarów braku czasu i słów „kocham Cię”.

Tytuł nawiązuje do utworu „The whole, beeing dead’ thing” z musicalu „Beetlejuice” w tłumaczeniu Doroty Kozielskiej.

Katarzyna Czaplicka

Panaceum 6/2023